

— To ładne! — szepnęła Madzia z uznaniem, inne panie potakiwały, zaś pan Szarocki odczekał, deklamował:

Giewont się złoci, jak baśń Szeherazad
I włosy twoje płoną niby róże.
Wiem, że z tej drogi nie powrócę nazad,
Lecz skonom smęlny przy orkanów wiośle.
Czy słyszysz moje rozelkania, duszo?
Życie katuszą!

Sklonił się i chciał usunąć się na bok, gdy zasłuchana i rozkoszująca się wierszem tym pani Łotuska powiedziała tonem prośby:

— Dalej, panie Henryku... o tem złocie, to takie ładne!

Szarocki zawahał się chwilę i mówił dalej z przejęciem:

„Na nic mi życia radosne heroldy,
Ni złoto Renu, ni brylantów piasek,
Skarb mój złośliwe ukryły Koboldy
I sam dziś jestem, jak w pustyni lasek.
O, życie, życie! — sam jestem z mą duszą,
Tyś jest katuszą!

Wenecki doża, gdym na Canale Grande,
Jeździł w marzenia łodzi do przystani,
Niejedną spotkał prastłowiastą Wandę,
Lecz nie pisałem poematów dla niej;
Bowie mi zawsze było przeokropnie,
A dzisiaj brutal jeno celu dopnie!
To serca roponie!”

Sklonił się i usiadł, spojrzawszy powłóczyście na panią Łotuskę.

— Już koniec? — zawołała z żalem pani Mniewska, — jaka szkoda! Czy naprawdę nic więcej?

— Jest ostatnia jeszcze strofa, — powiedziała z radosną dumą pani Łotuska.

— Prosimy!... Prosimy!

Pan Szarocki z miną ofiary wstał, rękę oparł o poręcz krzesła i kończył:

Gdzieś tam przy Morskiem szumią świerki
I łódź jeziora w słońcu się kryształili. [ostrze,
Straciłem w tobie i brata, i siostrę,
I łza mi w sercu rozelkana pali,
Bo wiem, że jutro zanim wstanie słońce,
Przyjdą w me progi dumne śmierci gońce
Po życie żrące!

— Dziękujemy panu za prześliczną deklamację, — rzekła z godnością pani Porecka, — i mamy żal do pana, że tak rzadko słyszymy jego piękne poezje.

Szarocki pokrył swą wielką radość z pochwały uśmiechem na poły ironicznym i powiedział:

— Cieszy mnie, że prawdziwa poezja chociaż tą drogą zdobywa należne jej uznanie.

— Ta powiedz mi pan, — odezwiała się radczyni, — dlaczego wy wszyscy piszecie smutne wiersze?

— Dlaczego? — odparł Szarocki dumnie, — jaki jest nastrój serca, tak się pisze.

— Ta co panu brakuje? — zaśmiała się, — jaki smutny nastrój? Jeść pan je, mieszka wygodnie, jest w co się ubrać, o! bieda nie dokucza żadna. No, a serce? — spojrzała przelotnie na panią Łotuskę, — ono nie próżnuje, ta i poco te smutki? te śmierci? Ja tak myślę, że to udawanie.

Ostatnie słowo, jak zwykle jakaś niemiła prawda, wzburzyło pana Szarockiego, zwłaszcza, że panie Porecka i Łacka przytakiwały temu zapatrywaniu radczni.

— Chlebojadom, — rzekł porywczo, — wystarczą wygody ciała, gdyż nie rozumiem głodu duszy, jej męki i tortury. Oto poeta spowiada się ze swej miłości, czuje groźbę śmierci, tragedię swego życia, a pani powiada: udawanie!

— Ta co mam robić? — zaśmiała się radczyni, — mówi pan, że to nie udawanie, niech i tak będzie.

— A pani jak się zdaje? — spytała pani Mniewska, patrząc na panią Łotuskę.

— Mojem zdaniem ten poemat jest szczery, niema w nim udawania.

— Żadnego! — podkreślił ostro pan Szarocki.

— No, tak, — uśmiechnął się pan Jedliński, — ale gdyby pan widział panią, — oczyma wskazał na panią Łotuskę, — zwieszającą się z „przetwardej grani“, i rzucającą się „do łzawej otchłani“, czy pan by pozwolił na śmierć tak szpecącą

suknie i ciało? Czy nie ratowałby pan jej, gdyby nawet panu obcą była?

— Co za dziwne pytanie? — uśmiechnął się niepewnie, — oczywiście ratowałbym.

— A teraz tak, panie Henryku, z ręką na sercu, gdy pan jesteś w towarzystwie pani i zachwycacie się oboje poezją, czy życie jest katuszą? ropieniem? żrącą trucizną?

— Dlaczegoż pan do mnie stosuje tę poezję? — zawołał obrażony.

— Pan głosił jej prawdę, a prawda jest jedna, i albo życie jest katuszą i męką, albo szczęściem i rozkoszą.

— Na takie postawienie kwestyi nie mogę się zgodzić, bo całe życie jest jednym pasmem smutku i nędzy, a chwile szczęścia i rozkoszy są odkradzione przeznaczeniu, — mówiąc o szczęściu spojrzał mimowolnie na panią Łotuskę.

— To nam wystarcza, — zaśmiał się pan Jedliński, — szło o to, czy pan mniewa chwile szczęścia i rozkoszy, co pan sam zeznał.

Wszystkie panie uśmiechnęły się dyskretnie



Przy wejściu pani Wandy podniosła się z kanapki młoda, smukła brunetka.

i z pod oka spojrzały na zarumienioną po białka panią Łotuskę.

— Nie wiedziałem, że były to śledcze pytania, — rzekł gniewnie Szarocki, i tem odezwaniem się pograżył siebie jeszcze głębiej.

— W tem była właśnie sztuka! — zawołał weselo pan Jedliński, — teraz jesteśmy w porządku, jak mówił indyk, gdy mu głowę ucięto. Nie mój koncept, lecz Dikensa.

W tej chwili zjawił się chłopak w liberyi, pomocnik portjera i szedł wprost do pani Wandy, która rozmawiała z panami Borowieckim i Manieckim. Wejście chłopaka wzbudziło ogólne zainteresowanie, a pan Jedliński, spojrzawszy na zegarek powiedział:

— To czas przybycia pociągu, ktoś przyjechał do pani Jerzyckiej.

Słowa te zrobiły wrażenie, a pani Łacka do dała z ulgą w głosie:

— Nareszcie mąż przyjechał.

— To bardzo dobrze, — dodała pani Porecka, — skończą się flirty.

— Wątpię, — uśmiechnął się pan Jedliński, — on jest za dobroduszny i ślepo jej wierzy.

Korzystając z tego zainteresowania się po-

mocnikiem portjera, pani Łotuska i Szarocki wysunęli się z towarzystwa i usiedli oboje na swem zwykłym miejscu, na kozetce we framudze salonu, zasłoniętej roślinami wazonowymi.

Tymczasem pani Jerzycka wysłuchiwała relacji chłopaka:

— Proszę jaśnie pani, z pociągu przyjechała pani i ma list do jaśnie pani... kazała o tem zameldować.

— Nie powiedziała nazwiska?

— Nie, jaśnie pani.

— Gdzie ona?

— Czekaj na jaśnie panią w westybulu.

W pierwszej chwili przyszło jej na myśl, że może ktoś ze wsi z wiadomością o Ninie lub mężu i szybko szła do westybulu, lecz po namyśle zrodziło się przypuszczenie, że musi to być ktoś obcy, gdyż mąż byłby wysłał depeszę.

Przy wejściu pani Wandy podniosła się z kanapki młoda, smukła brunetka i cała oblana rumieńcem spytała nieśmiało:

— Czy pani Jerzycka? — a na potwierdzające skinienie głową: — jestem Dorota Rawicka, mam list od pani Szczygłowskiej, — podała kopertę.

— Ach, to od Zosi! — ożywiła się pani Wanda, — zna ją pani?

— Tak jest, to moja kuzynka.

— Proszę, siadaj pani, — usiadły obie, — pozwoli pani, że odczytam list.

— Bardzo proszę... zależy mi na tem.

Pani Wanda czytała dość obszerny list pani Szczygłowskiej, która pomiędzy innymi wiadomościami pisała: „Polecam ci gorąco moją kuzynkę, Dorotkę Rawicką, której stosunki rodzinne są nieszczegółne. W domu, dzięki ojczymowi, była kopciuszkiem, ale z natury dobra i współczująca, znosiła wszystko w milczeniu. Z przepracowania dostała trochę anemii, ale głównie potrzebuje słońca, spokoju, radości życia. Znając twe serce i usposobienie, nie wątpię, że zajmiesz się nią szczerze i nie pożałujesz tego, takie to dobre, zacne serce“.

Przy czytaniu pani Wanda spoglądała badawczo na dziewczynę. Wydała się jej sympatyczną i ładną, ze swą smagłą cerą, z czarnymi, marzącymi oczami, z bujnymi, aż w granat wpadającymi włosami, z pięknymi, niemal wyrzeźbionymi, rysami twarzy. Była podobna do pączka kwiatu, który rozchyła się dopiero do słońca, do życia i sam dla siebie jest jeszcze zagadką.

— Zosia w liście bardzo chwali panią, widać, że panią kocha.

— Ona jest bardzo dobra, — zarumieniła się, — i może przez zbytnią dobroć wymogła na mamusi, że wysłała mnie do Zakopanego.

— Zmęczyła panią podróż?

— Bardzo mało.

— Wszyscy młodzi tak mówią, — uśmiechnęła się niedowierzająco pani Wanda, — pani zostaje pod moją

opieką, a opiekunce trzeba zawsze prawdę mówić. Czy głodna pani?

— Prawie nie... ale pragnęłabym po podróży przycesać się i umyć.

— Jakaż nieuważna jestem... pewno pani nie ma jeszcze pokoju. Zaraz zaradzimy, — poszła do biura zakładu.

Wróciła po jakimś czasie, oznajmiając z przyjaznym uśmiechem:

— Na razie niema wolnego pokoju i musi pani przyjąć gościnę u mnie.

— Nie mogę nadużywać dobroci pani, są przecież hotele w Zakopanem i wróć, gdy znajdzie się tu miejsce.

— Jako opiekunka nie mogę pozwolić na to, — zaśmiała się — i proszę być posłuszną. Pójdzie pani do mego pokoju, a wieczorem wstawi się łóżko i wszystko będzie dobrze.

— Bardzo pani dziękuję, ale takiego poświęcenia przyjąć nie mogę, — siłała się na stanowczość.

(Ciąg dalszy nastąpi).